Nr. 38. We Lwowie dnia 17. Września 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

2)

BOLESŁAW PRUS.

Jeżeli epopeją nazywamy taki poemat, w którym jak najszersze i najróżnorodniejsze masy się poruszają, to takie poematy daje Prus: Placówka, Anielka, Lalka, Emancypantki, są to epopeje, żyje w nich cała społeczność.

Byłoby jednak niedokładnością, gdybyśmy Prusa traktowali jedynie jako humorystę, gdyż jakkolwiek szeroko rozumielibyśmy istotę humoru, to jednak są w Prusie cechy, które po za sferą humoru się mieszczą. Należy pamiętać, że Prus w szkołach słynął jako matematyk, że w szkole głównej studjował matematykę, że w owym czasie, kiedy zaczynał studja, młodzież zapalały kwestje filozoficzne, ekonomiczne, przyrodnicze. Ochorowicz badał istotę duszy, młodzi studenci po raz pierwszy zasłyszeli o Darwinie, ekonomja zajmowała wszystkie głowy. Umysł tak rzutki, wrażliwy i ruchliwy jak Prusa, nie mógł obojętnie przejść obok tego ruchu, owszem był on jednym z najczynniejszych w ruchu z przed laty 25, w ruchu pozytywnym. Nie odrazu się oddał literaturze, choć już w szkole (w Lublinie) słynął jako poeta, autor poematu humorystycznego »Bryś«, oraz redaktor pisma, które nosiło tytuł »Kurjer łobuzowski«. Skłonność do figlarnego wierszowania i w Warszawie przechyliła Prusa do humorystyki. Był on jakiś czas redaktorem „Muchy“ i współpracownikiem »Kolców«; z facecyj, które tam pomieszczał, powstała później książka p. t.: »To i owo, a właściwie ani to ani owo«. Ale istotna jego działalność literacka zaczyna się później; w r. 1872 założono pismo »Opiekun domowy«, umiarkowanie postępowy organ, który miał na celu ułagodzić burze, wywołane gwałtownymi rzutami »Przeglądu Tygodniowego«. Tu występować zaczął Prus, jako publicysta i nowelista.

Pierwotne nowele Prusa, między r. 72 a 76 pisane, mają charakter konceptów, żartów wesołych, bez pretensji, niekiedy przypominają karykatury Wilkońskiego, niekiedy zaś szkice Dickensa; jest to raczej dowcip niż humor. W każdym razie pewne cechy właściwe humoryście, były w nim już widoczne: tkliwość i rozsądek. Rozsądek był wrodzoną zapewne cechą umysłowości Prusa, a podsyciły go studja matematyczne i przyrodnicze i nieoceniony zmysł rzeczywistości, który mu pozwalał widzieć, czuć i rozumieć najdrobniejsze sprawy ludzi małych, których interesa lekceważy umysł abstrakcyjny. Ekonomista n. p., choćby miał najbardziej humanitarne tendencje, w swoich oderwanych rozumowaniach uważa ludzi pojedyńczych za numery bez twarzy; gdy tymczasem poeta humorysta, jakim jest Prus, odczuwa każde cierpienie, żyje każdem cierpieniem tak, jakby ono było jego własnem.

Poczucie rzeczywistości sprawiło, że od konceptów przeszedł Prus do poważnego humoru. »Anielka«, »Grzechy dzieciństwa«, »Przygoda Stasia«, malują nam dzieci w różnych okazjach, pochwycone w niezmiernej pełni życia. Anielka zwłaszcza, przyszła Madzia z emancypantek, dziewczątko lat 13-tu, dorasta miary bohaterki, której wiek w zestawieniu z ogromem zadań, jakie leżą na jej barkach, sprawia niewymownie wzruszające wrażenie. Antek i Michałko, to znowu dzieci, dzieci wiejskie dwóch typów: jeden, duch żądny wiedzy, rzutki i spragniony ruchu; drugi, zahukany, durny, pośmiewisko całego sioła; obaj w swoim rodzaju doskonali, obaj też budzą w czytelniku współczucie. Ale nuta serdeczności rośnie bezustannie w Prusie. »Kamizelka«, »Katarynka«, »Kosmopolita«, »Przy księżycu«, sięgają do coraz głębszych warstw uczuciowości ludzkiej i czytelnik temuż samemu uczuciu się poddaje. Jest to magja talentu, że zmęczony i gorzko nawet nastrojony słuchacz, przy czytaniu tych nowel musi się uśmiechnąć serdecznie. Nigdy u Prusa nie znajdziesz pessymizmu; miłość człowieka chroniła go od tego; sieje on światło dobroczynne, rozgrzewa i karmi nadzieją.

Też same cechy w równie silnym, czasami silniejszym stopniu, widać w jego feljetonach. Tu swobodniejsza forma pozwalała Prusowi na większą rozmaitość przedmiotów, której dostarczały same fakta bieżące, a jakże czujne było oko i serce Prusa na wszystkie drgnienia rojowiska Warszawy i kraju! jakże ruchliwy był jego mózg, że zawsze umiał wypowiedzieć wszystko w formie niespodziewanej i nadzwyczajnej. Statystyka i figle, sprawy rzemieślnicze i rozważania o teatrze, kwestje wyżymaczek i teorja protekcjonizmu, sprawa kanalizacji miasta i filozofja Comté'a, sprawozdania z koncertów i szlachtuzów, tanie kuchnie, kasy rzemieślnicze, szkoły techniczne, kwestja żydowska, oświata ludowa, pomysły gospodarcze, jak konserwy z bigosu, hodowla bydła, sprawa donżuanerji ulicznej, kwestja kobieca i tysiące innych, wszystko się znajdzie w feljetonach, w jego kronikach tygodniowych, które niegdyś były ozdobą „Kurjera warszaw." Pozwolę sobie tu podać wyjątek z jednej z ostatnich kronik, która nie była drukowaną, gdyż ręka wyższa ją zatrzymała, ale o której wieść szeroko się rozeszła po Warszawie. Nie mogę jej powtórzyć dosłownie i nie mogę dochować całej oryginalności stylu Prusa; pomysł jednak dokładnie został pochwycony i słuchacze z przyjemnością ocenią dowcip autora.

Kochany kronikarzu! — pisze do Prusa jakiś szlachcic. Miałem dziś bardzo osobliwe zdarzenie i proszę cię, abyś mi rzecz tę wyjaśnił. Przychodzi do mnie dziś rano Szmul, krawiec z miasteczka i z miną tajemniczą mówi mi tak:

— Panie dziedzicu, wielka nowina.

— Cóż za nowina? — pytam go.

— Jesteśmy znowu polaki!

— Jakto? nic nie rozumiem.

— A jakże, jaśnie panie! To stoi w gazecie. I wszystkie krawcy sprowadzili już kitajkę na żupany, a szewcy skórę na żółte buty i tylko boją się robić kontusze, bo szlachta goła.

— Co też ty gadasz, mój Szmulku.

— Żebym oko stracił, tak to wszystko prawda.

I sprowadził mi jakieś gazety. Ja, Bogiem a prawdą, od 12 lat ani jednej literki nie czytałem, więc nie wiele tam wiedziałem z polityki. Czytam, a oczom nie wierzę... Co to jest? Król polski, królestwo polskie, naród polski... Więc znowu jestem Polak! Zupełnie o tem zapomniałem. Przywykłem od lat trzydziestu, że się nazywałem albo przywiślaniec albo miecieżnik i takem się przysposobił, żem się już inaczej nie rozumiał, jak przywiślański miecieżnik! Aż tu raptem — Polak! Wyznaję nawet, że mi się przykro zrobiło. Bo zgodzi się pan dobrodziej, że nazywać się Polak, to cóż? krótko, jakbyś zawołał: hop! i siadł na płot; a przywiślański miecieżnik, to jakbyś się szeroko rozparł na wygodnej kanapie...

W tym tonie była cała kronika; obecne prądy ugodowe wystawione bardzo zabawnie i stosunek obu narodowości z niezwykłym humorem odmalowany. Oczywiście w większości kronik, Prus, jak i cała współczesna literatura polska, ograniczonym jest do używania połowy niemal słownika. Nie obliczamy dziś zupełnie, jakie zmiany w słownictwie polskiem wywiera systematyczne zacieranie i usuwanie wielkiej ilości wyrazów i trzeba istotnie niesłychanej żywotności tego języka, literatury i samego narodu wreszcie, aby mógł wydawać takie siły pierwszorzędne, jak Bolesław Prus.

Zwolna rosły nowele Prusa do rozmiarów szerszych i przekształciły się w powieść.

Zanim jednak przejdę do jego powieści, zaznaczyć muszę przedługi okres, w którym Prus był redaktorem »Nowin«. Tu się okazało, że ten człowiek trzeźwy, rozsądny, realista, który uważał poezję za bezużyteczną i szkodliwą i który namawiał artystów, żeby się raczej brali do rzemiosła, tu się okazało, że człowiek ten jest poetą.

Nie Prus sam się narzucił na redaktora, lecz jego szukano; mianowicie Stanisław Kronenberg w r. 1883-4, chcąc stworzyć dziennik uczciwy i rozumny, zwrócił się do Prusa, licząc na jego talent i umiejętność przemawiania do ludzi. Dodać tu muszę, że miał już w owym czasie Prus jeszcze jedną sławę, mianowicie sławę założyciela tak zwanych Kas pożyczkowych rzemieślniczych. Myśl założenia kas jest jednym z tych oryginalnych pomysłów Prusowskich, które nie tylko miały wartość literacką, ale i w rzeczywistości mogły znaleść wcielenie. Rozrastająca się w obec nędzy klas rzemieślniczych lichwa, była dla wielu pobudką do różnych występów przeciw tej zarazie; nikt jednak nie umiał tak gorąco przemówić do dobroczynności warszawskiej, jak to uczynił Prus. Ten odrazu znalazł środek nie radykalny oczywiście, ale chwilowo mogący przynieść pożytek. Gorączkowo odpowiedziała Warszawa i cały kraj na wezwanie Prusa, bo nie było innej drogi zgromadzenia kapitałów, jak publiczne składki; więc też każdy swego talara przynosił i w niedługim czasie składki wyniosły blizko pół miliona złotych polskich. Kasy te podniosły feljetonistę »Kurjera Warszawskiego« na stanowisko działacza praktycznego.

To przekonanie ogółu spowodowało Stanisława Kronenberga, że zaprosił Bolesława Prusa do redakcji „Nowin", licząc przytem, że świetny kronikarz i nowelista, nada pismu popularność. Tymczasem Prus, na stanowisku redaktora wykazał całą swoją niepraktyczność; czuł on doskonale lichotę urządzenia dziennikarstwa, zwłaszcza w Warszawie, to też chciał wystąpić jako reformator. Uważał on, że dziennik nie powinien bawić, tylko nauczać; nie powinien podawać rzeczy ciekawych i denerwujących, ale treściwie i bez komentarzy, objektywnie — jak się sam wyrażał — przedstawiać najważniejsze fakta bieżące, wobec zaś skłonności Prusa do statystyki, najważniejsze fakta stanowiły cyfry. Kronika bieżąca była sy-

stematycznie podzielona na dziesięć gubernji, i z każdej z nich podawał Prus nagromadzone cyferki. Publiczność była rozczarowana; znikły nowele, znikły kroniki Prusa; „Kamizelka“, „On“, „Kosmopolita“ i kilka innych, to zdaje się wszystko, co wyszło wówczas z pod pióra redaktora »Nowin«. Okazała się przytem niemożliwość prowadzenia pisma bez pewnej barwy. Prus właściwie do żadnego stronnictwa nie należał i nie należy; stoi on ponad stronnictwami i poza niemi. Jako poecie, powieściopisarzowi, najzupełniej to wypada; skoro jednak z tej bezstronniczości utworzyć zasadę, jak to chciał Prus zrobić w »Nowinach«, tworzy się nowe stronnictwo, oparte na zasadzie pozornie najlepszej, na objektywizmie; w istocie zaś podaje się najlichsze hasło, w którem nie tylko brak centralnego punktu dla orjentacji, ale też i zawiera się sprzeczność wewnętrzna: bo jakże z idei, będącej zaprzeczeniem stronnictw, może powstać stronnictwo.

Taka jednak była już szerokość umysłu Prusa, że chciał on ze swojego dziennika zrobić nie zwyczajny kurjerek, ale instytucję służby społecznej. Okazał się przedewszystkiem brak sił dziennikarskich, brak specjalistów, gdyż, jak to i dotychczas jest w prasie warszawskiej, każdy dziennikarz mniej więcej pisał o wszystkiem, każdy był i ekonomistą i pedagogiem i socjologiem i przyrodnikiem i politykiem i krytykiem literackim i sprawozdawcą teatralnym, a w danym razie dziennikarz może być reporterem, albo pisać powieści. Nienormalność ta, której niema ani we Francji, ani w Niemczech, u nas trwa dotąd częściowo, a za czasów, kiedy Prus »Nowiny« redagował, była jeszcze silniejsza. Szkopuł ten był nie do przebycia i musiał się pogodzić Prus z faktem, że będzie miał specjalistów niewielu. Owszem, sam był zmuszony stać się człowiekiem powszechnym, więc naprzód pisał rzeczy polityczne, układał statystyczną kronikę krajową, wreszcie wszystkie swoje pomysły społeczne, które dotąd rozsypywał po feljetonach, tu złączył w jedną syntezę, którą nazwał: Szkicem programu.

Program ten, który wywołał ironiczny uśmiech w odłamie postępowym »Prawdy«, a gorącą polemikę ze strony młodej partji czerwonych w »Przeglądzie Tygodniowym«, stanowił coś pośredniego między urządzeniem mieszczańskiem współczesnem, a jakimś łagodnym socjalizmem. Założenie kas rzemieślniczych, oparte na dobrowolnych składkach ogółu, było — zdaje się — dla Prusa punktem wyjścia do wytworzenia całego programu. Obok Darwinowskiej walki o byt, którą przemienia zresztą na troskę o byt, stawia on zasadę przyrodzoną współdziałania i pomocy wzajemnej istot między sobą. Z tej zasady wypływa filantropja, która uznaje niedomagania społeczne, ale nie chce leczyć ich abstrakcyjnym ideałem powszechnego szczęścia, ideałem, który tymczasowo podnieca tylko apetyt ludzi głodnych, jednakże ich nie nasyca. Prus podział warstw uważa za naturalny i konieczny do wymiany usług w społeczeństwie; natomiast szeroko zaleca dobroczynność, której zresztą za panaceum nie uważa, owszem po za tem wysławia pracę, nakłania swój naród do rzemiosł, do rękodzieł, do handlu, słowem w łagodniejszych tonach powtarza hasła pracy organicznej. Zestawiając przeszłość z teraźniejszością, widzi on źródło klęsk w braku stanu mieszczańskiego, który w każdem społeczeństwie wyobraża pracę i inteligencję. Przewiduje zresztą zjawienie się stanu czwartego, ale chciałby przedewszystkiem umocnić i utrwalić stan trzeci, który w Polsce dotąd składają cudzoziemcy: Niemcy i Żydzi. Mówiąc językiem Spencerowskim można program Prusa streścić w ten sposób, że wyobraża on przejście społeczeństwa od typu wojennego do przemysłowego. Nie przewiduje jednak złych stron kapitalizmu i dość różowo przyszłość maluje.

»Nowiny« upadły, pochłonąwszy około 60.000 rubli. Opinia świata dziennikarskiego odmówiła Prusowi talentu dziennikarskiego i sam on nieraz żartował ze siebie w tym względzie. Nie był to jednak sąd sprawiedliwy. Wadą Prusa, jako redaktora, było to, że nie trzymał się zwykłego szablonu, że własny typ dziennika wymyślił, i jeżeli sądzić pismo podług liczby abonentów, to był on złym redaktorem. O sławę jednak na tem polu nie dobijał się wcale. Nie używał reklamy, ogłoszeń, prospektów, baczył tylko na wewnętrzną treść pisma, licząc, że znajdą się czytelnicy, którzy jego dobrą wolę uznają. To też, ktoby dziś wziął do odczytania rocznik »Nowin« z epoki Prusa, znajdzie w nich ogromną ilość materjału trwalszego nad efemeryczną ciekawość, co właśnie było powodem upadku pisma, ale nadało mu znaczenie na przyszłość.

Przechodzimy do powieści.

(Dok. nast.)

A. Lange.

Szkice z nad Niewiaży.

6)

III.

W ostatnich czasach istnienia Rzeczpospolitej w obrębie dzisiejszej gubernji Kowieńskiej były tylko 2 cerkwie wyznania wschodniego, mianowicie: w Surdegach klasztorna, założona w 1550 r. przez miejscową ziemiankę, Annę Szyszankę Stawiecką Billewiczową, a przemurowaną w 1625 r. przez jej wnuczkę oraz w Kiejdanach cerkiewka zamkowa nadworna, zbudowana dla samej księżnej Radziwiłłowej w r. 1648; utrzymanie tej ostatniej, w której spoczęły zwłoki księżnej, należało do dworu i póki Kiejdany były w ręku Radziwiłłów była utrzymywaną w porządku, potem upadła. Dopiero w r. 1825 odnowił ją własnym kosztem generał Bezobrazow, Rosjanin, dowódca wojskowy. W pow. Nowo-Aleksandrowskim (dawniej Brasławskim) istniały 3 cerkiewki unickie, a w Podubisiu na Żmudzi, klasztorek Bazylianów wraz z cerkiewką. Klasztorek ten uległ kasacie w 1828 r. Już w r. 1824 z rozkazu Aleksandra I. kościół po-jezuicki w Kownie został przerobiony na cerkiew parafjalną. W 1832 roku kościół i klasztor w Pożajściu, fundacja Paców, zostały przerobione na cerkiew i klasztor prawosławny. W r. 1843 tj. w chwili uformowania gub. kowieńskiej było już 10 cerkwi parafjalnych i około 5000 parafjan; materjalne położenie duchowieństwa było opłakanem, a stan cerkwi nie świetny. Głośny apostata, Józef Siemaszko, po 1839 r. został arcybiskupem litewskim i wnet pomyślał o rozpowszechnieniu i podniesieniu prawosławja w Litwie; wskutek jego starań już rozporządzenie »Najświątobliwszego Synodu« z dnia 10. maja 1843 r. l. 4954 poleciło arcybiskupowi litewskiemu, J. Siemaszce*) obmyśleć środki, których celem było założenie osobnego wikarjatu w Kownie. W odpowiedzi na to Siemaszko dowodził konieczności założenia wikarjatu i wskazał na miejsce pobytu dlań klasztor w Pożajściu; żądał też, by wikarjusza można było powołać do Wilna w razie potrzeby, bo na miejscu miał bardzo mało roboty. Pierwszym wikarjuszem został mianowany Platon, przeor jednego z klasztorów wileńskich. Arcybiskup litewski domagał się, by po-dominikański kościół i gmachy klasztorne były oddane duchowieństwu prawosławnemu w zamian po-franciszkańskich, ale w Petersburgu odrzucono te zabiegi. Jednym ze skutków urządzenia wikarjatu osobnego był projekt założenia cerkwi w każdem z miast powiatowych. Arcybiskup litewski Siemaszko pisał do N. Synodu, że duchowieństwo prawosławne, naznaczone do wszystkich miast powiatowych jeszcze w r. 1840 w niektórych miastach, jak n. p. w Poniewieżu, Rosieniach i Telszach, odprawia nabożeństwo w domach mieszkańców miejscowych, których do zgody na to zmusza policja; pisano to w r. 1844 dnia 7 marca w raporcie do N. Synodu. Ze względu na taki stan rzeczy, Siemaszko domagał się, by w tych miastach wzniesiono cerkwie, chociażby drewniane, ale jego życzenia urzeczywistniły się nie tak jeszcze rychło. Pierwszą cerkiew otwarto w Poniewieżu w 1849 r. przerabiając na nią kosztem inżynierji wojskowej kościół po-pijarski, z gmachów zaś klasztornych zrobiono koszary wojskowe. Cerkwie w innych miastach powiatowych stanęły dopiero znacznie później, w Szawlach, w 1867 r., a w Telszach nawet w r. 1876! Rozumie się, po wypadkach 1863 r. działalność duchowieństwa prawosławnego przybrała szeroki zakres i zmieniła zupełnie swój charakter, stając się zaczepną i napastującą; poparcie i ochrona władzy świeckiej były bezwarunkowe. Prawosławje uznano za jeden z najgłówniejszych czynników szerzenia kultury rosyjskiej, zniszczenia wpływów katolicyzmu a spotęgowania zruszczenia kraju, w tym celu zrobiono wszystko, co było można. Starano się upokorzyć, zdemoralizować i poniżyć katolicyzm, usuwając go od wszelkiego udziału w życiu publicznem, sprowadzając prawo publiczności nabożeństwa do ostatecznego minimum, poniżając na każdym kroku duchowieństwo i wiarą katolicką; np. wówczas zakazano obchodzić dzień św. Kazimierza i wykluczono go jako dzień świąteczny z kalendarzów. Ten sam zakaz stosuje się do obchodów innych, wyłącznie katolickich świąt np. Bożego Ciała i Niepokalanego Poczęcia. W te dni sądy odbywają swe posiedzenia, przysięgli muszą stawić się do spełnienia swych obowiązków, chociażby byli katolikami, uczniowie katoliccy być w szkołach, magazyny, szynki i wszystkie zakłady publiczne są otwarte, nawet w czasie nabożeństwa...

A teraz porównajmy przepisy obowiązujące w dni świąteczne, uznawane przez kościół prawosławny. Wszelkie zakłady handlowo-przemysłowe winny być zamknięte do ukończenia nabożeństwa w cerkwi t. j. do południa, wszystkie czynności życia publicznego są przerywane; w miastach wstrzymują ruch po tych ulicach, po których ma przechodzić procesja prawosławna. Duchowny prawosławny spotyka się z wielkiemi oznakami szacunku i poważania, gdy gubernator kowieński p. Klingenberg, kazał czekać w przedpokoju po godzinie i więcej osiwiałym, poważnym księżom katolickim. W ogóle zawsze i wszędzie władza otacza jak największym szacunkiem i czcią przed-

*) Znakomity metropolita moskiewski, Filaret, człowiek bez zarzutu tak scharakteryzował J. Siemaszkę: »W starym zakonie bracia sprzedali Józefa, w nowym zaś, Józef sprzedał braci«.

stawicieli duchowieństwa prawosławnego, pomiatając natomiast, o ile można, o ile się uda, przedstawicielami innych wyznań chrześcjańskich, zwłaszcza katolickiego i kalwińskiego. Postarano się podnieść stopień wykształcenia umysłowego i moralnego duchownych prawosławnych, zabezpieczyć ich byt materjalny i zapewnić przyszłość rodzinom; pomyślano także o podniesieniu poziomu dobrobytu materjalnego i moralnego kleru niższego n. p. djaków, psałterzystów. I rzeczywiście udało się to poniekąd, bo tylko wyjątkowe jednostki z pośród duchowieństwa prawosławnego zachowują się nagannie z punktu widzenia moralnego. Nie wielu też wśród nich znalazło się żarliwych stronników rusyfikacji i prawosławia. Wogóle duchowieństwo prawosławne, oprócz osławionych: Batalina i Jaruszewicza zachowuje choć pozory przyzwoitości w stosunkach z wyznaniami innemi. Był projekt ustanowienia zasady, że na proboszczów prawosławnych mogą być tylko mianowani wychowańcy akademij duchownych, ale projekt ten okazał się niemożliwym; w każdym razie tutejsze duchowieństwo wschodnie, jak niebo od ziemi, tak różni się od swoich współbraci na Rusi Białej, a tembardziej w Rosji centralnej lub wschodniej. Tu warto skreślić parę słów o stosunkach mnichów wschodnich do ludności miejscowej. Mnisi klasztoru surdeckiego żyją w ogóle w zgodzie z włościaństwem sąsiedniem, ale nie można tego powiedzieć o mnichach klasztoru pożajskiego; tam ustawiczna wojna, przed kilku laty chłopi spalili zżęte zboże klasztorne; winnych nie znaleziono. Od r. 1893 istnieje w Autoleptach (pow. Nowo-Aleksandrowski) klasztor żeński, który utrzymuje szkołę dla dziewcząt i ochronkę dla dzieci, ale mniszki posiadają jak najgorszą opinię wśród ludu; szkoła i ochronka są puste.

(C. d. n.)

J. Syrokomla.

2)

BRACIA MAŁEGO MOWGLI

przez **Rudyarda Kiplinga.**

Przekład z angielskiego.

— Wilki są wolnym ludem — odparł mu na to ojciec wilk. — Słuchają jeno rozkazów wyższej rady, a nie jakiegoś tam pasiastego zjadacza wołów. Mały człowiek jest naszym... i my go zabijemy, jeśli nam się tak podoba.

— Podoba — niepodoba!... Co znaczy ta mowa zuchwała? Czyliż mam czekać z nosem wetkniętym w waszą psią budę na to, co mi się z prawa należy? Wszak to mówię ja, Shere Khan!

Ryk tygrysa zadudnił w jaskini. Matka Wilczyca otrząsnęła z siebie wilczęta i rzuciła się naprzód z ślepiami płonącemi, jak dwa księżyce, ziejące ogniem prosto w oczy Shere Khana.

— A ja, Baskha (Szatan), odpowiadam ci na to. Ten mały jest moim Lungri, moim i nikt go nie tknie! — zawyła. — Wyrośnie on i będzie biegał z gromadą i z gromadą wychodził na łowy. A strzeż się, ty, prześladowco stworzeń nagich, bezbronnych, ty zjadaczu żab. On i na ciebie zapoluje. A teraz precz mi stąd, bo przysięgam na kozła Sambhur, którego zagryzłam wczoraj — ja się nie żywię bydłem na wpół zdechłem — przysięgam na Sambhura, że powrócisz do twej maciory, kulejąc jeszcze gorzej, niż z urodzenia. Precz mi zaraz.

Ojciec Wilk spojrzał zdumiony.

Dawnym już był dzień, gdy zdobył matkę Wilczycę, w szlachetnym boju przeciw pięciu innym wilkom. Wtedy nazywano ją Szatanem nie przez grzeczność.

Shere Khan mógł był stawić czoło ojcu Wilkowi, ale nie mógł porywać się na matkę Wilczycę, wiedział bowiem, że ma tu przewagę pozycji i że na śmierć walczyć będzie. To też, pomrukując, wygramolił się z otworu, a gdy się znalazł na świeżem powietrzu, huknął:

— Każdy pies szczeka w swojej budzie! Zobaczymy, co na to powie gromada i jak się będzie zapatrywała na to edukowanie małego człowieka. Ten bachor jest moim i wcześniej, czy później, pod moim zębem zginąć musi. Wy, złodzieje o puszystych ogonach!

Matka Wilczyca zziajana, całym ciężarem opadła na wilczęta, a ojciec Wilk rzekł poważnie:

— Shere Khan ma słuszność: trzeba przedstawić malca gromadzie. Czy go chcesz jeszcze zatrzymać, matko?

Ona sapnęła oburzona:

— Czy ja go chcę zatrzymać! To dobre! Przyszedł nagi, po nocy, zgłodniały i sam, a nie bał się. Patrz, odepchnął już jednego z naszych małych i do mnie się tuli. Ten koszlawy rzeźnik schrupałby go i uciekł do Waingungi, a potem wieśniacy-by tu nadbiegli i przez zemstę urządziliby na nas obławę! Czy ja go zatrzymam? Ma się rozumieć, że zatrzymam. Połóż-że się tutaj, moja Żabko. — Będę go nazywała Mowgli — (żaba). Przyjdzie czas, gdy ścigać będziesz Shere Khana, tak jak on dzisiaj ciebie ścigał.

— Ale cóż na to powie gromada? — wtrącił ojciec Wilk.

Prawo dżungli ustanawia wyraźnie, że każdy wilk, po ożenieniu się może wystąpić ze swej gromady, lecz skoro dzieci mu podrosną o tyle, że mogą się na własnych łapach utrzymać, to musi je przyprowadzić na radę, która zbiera się zwykle raz na miesiąc, podczas pełni, a przyprowadzić je musi dlatego, żeby inne wilki mogły tożsamość ich sprawdzić.

Po takich oględzinaeh, wilczętom wolno biegać, gdzie im się żywnie podoba, a dopóki pierwszego kozła nie zduszą, każdy wilk dorosły i z tej samej gromady, któryby jednego z nich zgładził, karany jest śmiercią na miejscu.

Jeżeli się zastanowicie nad tem prawem, to przyznacie, że jest słusznem.

Ojciec Wilk doczekał sie zatem, aż jego mali podrośli, a wtedy w noc zgromadzenia zaprowadził ich z Mowglim i matką Wilczycą na Skałę Rady — jest to szczyt wzgórza, najeżonego kupami głazów. Ze sto wilków może się na nim pomieścić swobodnie.

Akela, siwy wilk samotnik, dla swej zwinności i siły, dowodzący gromadą, leżał rozciągnięty na swoim kamieniu; ponad nim siedziało przeszło czterdziestu wilków rozmaitej wielkości i sierści — od weteranów o barwie borsuka, którzy dusili kozła, jak muchę, aż do młodych, czarnych trzylatków, którym się zdawało, że i oni to potrafią.

Samotnik przewodził im już od roku. Za młodych lat dwa razy zdarzało mu się wpaść w wilczą pułapkę, więc znał też ludzkie zwyczaje.

Rozmawiano mało. Wilczęta przewracały kozły w pośrodku koliska, w którem zasiadali ich ojcowie i matki; a kiedy niekiedy wilk starszy zbliżał się do jakiego małego, patrzał na niego surowo i wracał na swoje miejsce w milczeniu.

Czasami matka wysuwała swego malca na pełne światło księżyca, aby zwrócić na niego uwagę.

Akela wył w niebogłosy:

— Znacie prawo, znacie prawo! Patrzcie, o, wilki!

A matki wołały:

— Patrzcie, patrzcie, o, wilki!

Wreszcie (a w chwili tej matka Wilczyca uczuła, że się szerść na niej jeży) ojciec Wilk wypchnął na środek *Mowgli-Żabę*, jak go oboje nazywali. Dziecko zaczęło się tarzać po ziemi i bawić kamykami, błyszczącymi w świetle księżyca.

Akela, nie podnosząc łba, opartego na łapach, wciąż jednostajnie zawodził:

— Patrzcie! Przyjrzyjcie się dobrze!

Groźny krzyk Shere Khana rozległ się za skałą, a po chwili tygrys zagrzmiał:

— Mały jest moim. Dawajcie mi go tutaj! Cóż wolnemu ludowi po jakimś człowieczym bachorze?

Akela ani drgnął, tylko rzekł:

— Słuchajcie! o, wilki! Cóż wolnemu ludowi do jakichś tam obcych rozkazów? Przyjrzyjcie się dobrze!

Rozbrzmiały warkliwe pomruki. Młody wilk czterolatek zwrócił się w stronę Akeli i powtórzył zapytanie Shere Khana.

— Cóż wolnemu ludowi po jakimś człowieczym bachorze?

Otóż prawo dżungli ustanawia, że w razie zatargów przy wprowadzeniu nowego człowieka do gromady, może on być przyjęty wtedy tylko, gdy dwóch starszych wilków, nie będących ani jego ojcem, ani matką, poprze jego sprawę.

— Kto przemawia za tym małym? — spytał Akela. — Kto z pośród wolnego ludu głos zabiera?

Nie było odpowiedzi i matka Wilczyca gotowała się do walki, choć czuła, że to może być ostatnią walką w jej życiu.

Wtedy jedyne obce stworzenie, przypuszczone na radę — Baloo, ospały niedźwiedź brunatny, który wykłada młodym wilczętom prawo dżungli, stary Baloo, któremu wolno krążyć swobodnie, gdzie mu się tylko podoba, bo je tylko orzechy, miód i korzonki — stary Baloo podniósł się na tylnych łapach i mruknął:

— Dziecko człowiecze... Dziecko człowiecze. Ja wstawiam się za tym bąkiem. Taki dzieciuch nic nam złego zrobić nie może. Nie mam ja daru słowa, pięknie przemawiać nie potrafię, ale mówię prawdę. Pozwólcie mu biegać z gromadą, niech go do gromady przyłączą. Ja sam uczyć go będę.

— Potrzeba jeszcze drugiego głosu — oświadczył Akela. — Baloo przemówił za dzieckiem człowieczem, a Baloo jest naszym mistrzem. Kto poprze słowa Baloa?

Cień padł na środek koliska. Wystąpiła naprzód Baghera; była to pantera o skórze czarnej jak atrament, mieniącej się pręgami, niby mora.

Wszyscy znali Bagherę i nikt jej nie chciał wchodzić w drogę, albowiem była przebiegła, jak Tabakwi, śmiała, jako dziki bawoł, a tak odważna, jak słoń raniony. Ale głos jej był słodszy od leśnego miodu, który spływa z drzewa kropla po kropli, a skóra jej miększa od puchu.

— O! Akelo! i ty, wolny ludzie! — zakwiliła. — Nie mam prawa głosu na waszej radzie, ale ustawa dżungli orzeka, że gdy zachodzi wątpliwość przy prezentacji nowego członka, to jeśli nie dopuścił się krwawego czynu, może być wkupiony do gromady; a ustawa dżungli nie zastrzega, kto ma lub nie ma prawa dawać okup. Czy słusznie powiadam?

— Prawda, prawda! — przytakiwały młode wilki, zawsze zgłodniałe i pożądające żeru. — Słuchajmy Baghery. Malec może być wkupiony. Tak mówi ustawa.

— Choć nie mam prawa przemawiać, jednak o głos proszę.

— Mów! — zawyło ze dwadzieścia gardzieli.

(C. d. n.)

9)

Gdy lipy kwitły.

Szli jakiś czas w milczeniu.

Patrzał na nią z podoka, widział, jak coraz niżej opuszczała się jej głowa, jak z twarzy jej znikł nawet ślad rumieńca; i coraz większy żal wgryzał się mu w serce.

Wyszli właśnie z cienistej alei i poranne słońce całym żarem lipcowych płomieni upadło na nią.

W jasnym letnim stroju, z płowymi włosami mieniącymi się złotem na słońcu, ze śnieżystą białością cery, w całej swej postaci smukłej, gibkiej, wytwornej była niewypowiedzianie wdzięczna, i taka prostota a szlachetność i dobroć duszy biła od niej, iż wydała się Gromskiemu nietylko szczególnym, lecz najdroższym i najbliższym dla jego duszy obrazem piękna duchowego i cielesnego zarazem; ogarnęła go nagła, szalona rozpacz, iż traci to wszystko, że oto w następnej chwili ona, która jest mu tak teraz blizką, stanie się raz na zawsze obcą i na wieki straconą. Rzucił się ku niej, ujął obie jej dłonie i starając się zajrzeć jej w oczy, zawołał z rozpaczą:

— A jednak nie odrzucaj mnie!... Walu, Walu — bądź moją!

Zadrżała do głębi duszy. W tym głosie błagalnym, gorącym, brzmiało tyle dźwięków z lat dawnych! Nie czuła nawet, że łzy napełniły nagle jej oczy i na rzęsach zawisły drobnemi gwiazdkami.

Jego te łzy do reszty wyrzuciły z siebie. Zeznawał jedno tylko, że stracić jej nie może i chwycił się obecnej chwili, jak lecący w przepaść czepia się wiotkiego pędu wikliny, nie myśląc, czy go utrzymać zdoła.

Gwałtownie, niemal szorstko, przyciągnął ją ku sobie i głosem, w którym błaganie przechodziło już w rozkaz, wołał:

— Musisz być moją — ja cię nie mogę stracić — ja zginę bez ciebie, ja zmysły postradam — ty musisz być moją!

Nie pamiętał, co mówił, głos jego łamał się bez dźwięku i tylko ściskał jej palce, iż omal się nie krwawiły.

Uczuła dotkliwy ból i starała się delikatnie wyswobodzić palce z jego dłoni.

Lecz ruch słabej obrony zdawał się w nim bardziej potęgować rozpacz.

— Nie, ty mi nie umkniesz — mówił z wzrastającą męką — nie dam ci dla rozumowań rozbić naszego życia...

Bądź moją panią, mojem słońcem, moją duszą, Wala — Wala!

Drżała jak ptaszę schwytane. Taka głębia rozpaczy, taka siła uczucia brzmiała w tych słowach, w tem raczej łkaniu stłumionem, iż czuła się maluczką w obec tej nagle zjawionej wizji olbrzymiego ducha. Błysnął jej w myśli obraz listka skręconego wirem na głębokiej toni i zdało jej się, że czuje to samo, co taki listek czuć musi. Ta nieznana wielkość zdumiała ją i razem porywała jej duszę; bała się go niemal i czuła niewysłowiony czar w tej bojaźni.

Lecz trwało to tylko chwilę. Nie dała się porwać czarowi. Przypomniała jakim jest ten człowiek i wróciła jej świadomość odległości, jaka ich dzieliła.

— Nie, nie! — zawołała żywo, wysuwając ręce z jego dłoni. Nie wolno schodzić z drogi! Ja się nie zmienię nigdy, nie wyrzeknę się niczego. Zostaw mnie pan, myśmy nazbyt dobrzy — och, nazbyt...

Cofnęła się od niego i zamiast wejść pod lipy, zwróciła dróżką na prawo i szybko zaczęła się oddalać.

On stał i patrzał na nią.

Patrzał, jak coraz większa przestrzeń ich rozdziela, jak coraz szybciej zdaje się oddalać.

— Uciekła odemnie! — jęknął przez zaciśnięte zęby.

Ból i nieskończona gorycz zalały mu serce. Zawrócił w aleję i wolnym krokiem odszedł w głąb ogrodu.

I odtąd Wala już go nie widziała. Przy obiedzie dowiedziała się, iż Gromski na południowy pociąg odjechał na stację.

Dziwna jakaś cisza odjazd jego otoczyła. Prawdopodobnie domyślano się czegoś niezwykłego i nikt nie śmiał poruszyć drażliwego tematu. Ojciec widocznie był w złym humorze, lecz zaraz po obiedzie wyjechał na dni kilka do innych folwarków; babunia zamyślała się czegoś, siostry unikały wzrokiem jej spojrzenia. Zaledwo wieczorem jedna z nich przystąpiła do uroczystej pogadanki. Lecz Wala i tym razem nie dała sobie nic powiedzieć.

— Ja kiedyś wam, najdrożsi, opowiem wszystko — tylko nie teraz. Proszę, zostawcie mnie w spokoju. — A była przytem tak znękaną, z tak bolesną prośbą podnosiła na siostrę smutne oczy, że musiano wszelkich badań zaniechać.

Nazajutrz wszystko poszło dawnym trybem. Wobec większej liczby osób, nieobecność jednego nie robiła wielkiej różnicy. Bawiono się, tańcowano, wycieczkowano po dawnemu; o Gromskim wspomnienia niemal nie było. Jeden Warenicz posmutniał trochę i Wala często zwracała na niego współczujące wejrzenie. Walę zostawiono w spokoju. Co przeżywała, jaką walkę z sobą toczyła, jak dalece cieszyło ją zwycięstwo, pozostało to dla otaczających nienaruszoną tajemnicą. Siostry zauważyły wszakże, że chociaż oczy jej nabrały tęsknego wyrazu, zdawała się być spokoj-

niejszą. Ale Warenicz skarżył się zawsze, że nie słyszy muzyki panny Walerji. Rzeczywiście unikała fortepianu, tak jak i książek zarówno; pogrążyła się cała w gospodarzeniu, co przy rozpoczętych żniwach bardzo było ojcu na rękę.

Znowu zeszło ze dwa tygodnie. Lipiec był w najświeższym rozkwicie złotych zbóż, mnogości malin, róż dojrzałych i potopów słonecznych promieni, palących, znojnych, które z wysokości niebieskich żadnym niezmąconych obłoczkiem, przez cały długi dzień spływały na ziemię. Posiedzenia pod lipami bywały częstsze i dłuższe; mianowicie, gdy po pewnej nocy pełnej rosy otwarły się pąki drobnych kwiatów i staruszki lipy stanęły w godowym stroju, w stroju czarodziejskich swatek, jak utrzymywała babunia i nie skąpiły upajającej woni słodkiej dla pszczółek i ludzi.

Na iednem z takich posiedzeń zaszedł drobny wypadek, który miał jednak wielkie znaczenie dla Wali. Przyniesiono pocztę pod lipy i każdy pogrążył się w odczytywaniu listów lub dzienników. Jakiś czas nie słyszało się nic więcej, oprócz szelestu przewracanych kartek.

— A pan od kogo list otrzymał? — spytała jedna z pań Warenicza.

— Od Gromskiego.

— Cóż pisze?

— Nic szczególnego. — Ukłony wszystkim przysyła.

— Nieznośny jest Gromski — ozwała się nagle Frania. — Żeby tak nagle wyjechać, prawie bez pożegnania... A myśmy tu na rękach go nosili. Gbur azjatycki i nic więcej.

Warenicz oburzył się żywo. Gromski gburem nie jest i może nikt tak dalece nie umie czuć wdzięczności i nie posiada tak głęboko wrażliwej duszy jak on. A jeśli teraz nie tak postąpił, jakby się komu podobało, to miał z pewnością ważne ku temu przyczyny.

Frania ścisnęła ramionami i zamilkła. A Wala rzuciła Wareniczowi spojrzenie, w którem odbiła się taka głęboka podzięka i zadowolenie, iż nie mógł nie uśmiechnąć się do niej przyjaźnie.

I mowy już więcej o Gromskim nie było.

Lecz po wieczerzy, kiedy młode towarzystwo przeszło na werendę, Wala znalazła kącik na ławce obok Warenicza i wsunęła się tu, kryjąc się cała w zwoje dzikiego wina. Zdawało się jej, że Warenicz stał się dla niej bliski jak brat i chciała pomówić z nim szczerze i serdecznie.

I kiedy całe towarzystwo bawiło się zaimprowizowaną na prędce astronomją, oni oboje rozmawiali poważnie o rzeczach dalekich, o tem, co było w jego przeszłości i czem nadal jego i jej życie być winno.

— Nie sądziłem, że pani jesteś, aż taką — rzekł wreszcie, widocznie przejęty.

— Jaką?

— Jesteś pani jak woda głęboka, z wierzchu spokojna i cicha, lecz wrzucić tylko kamyk, to kręgi pójdą szerokie i wielkie.

Uśmiechnęła się.

— Nie wiem, czy taką jestem. To może pan tylko masz żywą wyobraźnię.

— Przyznaję się, iż powtarzam słowa nie swoje, ale bardzo są trafne. Mówił to o pani Gromski.

Wala nastawiła uszu; lecz Warenicz nic już więcej nie mówił. (Dok. n.)

Wanda Dalecka.

Z pism i książek.

Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, Dział VII. Etnograficzny: Huculszczyzna. Lwów. Nakładem Muzeum Dzieduszyckich 1899. W dziale etnograficznym Muzeum im. Dzieduszyckich zajmuje ważne miejsce Huculszczyzna, tj. wszystko co daje obraz życia, przemysłu, obyczajów i ubrania Hucułów. Zbiory te zawdzięcza Muzeum głównie pracy prof. Włodzimierza Szuchewicza, a obecnie hr. Włodzimierz Dzieduszycki wydał katalog z ilustracjami i objaśnieniami. Katalog ten, obejmujący 37 ilustracyj bardzo ładnie wykonanych, jest poniekąd wzorem, w jaki sposób katologi podobne układać należy, ażeby nawet bez widzenia Muzeum mogły informować szerszą publiczność o zbiorach muzealnych.

Aleksander Kraushar. Bonneau, ostatni konsul generalny rzeczp. francuskiej za Stanisława Augusta (1759—1805). Lwów. Z drukarni Władysława Łozińskiego 1900.

Jan Aleksander Yves Bonneau, urodzony r. 1739 w Montpellier, osiadł wraz z żoną stale w Warszawie jako agent dyplomatyczny francuski. W r. 1792 był sekretarzem ambasady francuskiej w Polsce, a kiedy pod wpływem Rosji — rzeczpospolita zerwała oficjalne stosunki z rewolucyjną Francją, wówczas pełnił Bonneau półoficjalnie, a następnie tajnie obowiązki generalnego konsula rzeczp. francuskiej w Warszawie. Ostrożny i przenikliwy — umiał długi czas ukrywać swój charakter dyplomatyczny, pomimo że informował swój rząd o wszystkich zmianach w Polsce. Republikanin z przekonania sympatyzował z myślą odrodzenia Polski za pomocą rewolucji ludowej i to wreszcie zaprowadziło go do więzienia w Petersburgu, skutkiem denuncjacji Auberta. Ten ostatni mianowicie grał rolę podwójną — jako pomocnik Bonneau'a i równocześnie jako jurgeltnik rosyjski.

Bonneau wypuszczony z więzienia rosyjskiego razem z rewolucjonistami polskimi — pracował dalej jeszcze aż do r. 1805 w kierunku odbudowania Polski przy pomocy Francji. Mimo jednak jego zasług dla Polaków, historja o nim prawie zupełnie zapomniała; rozprawka p. Kraushara wydobywa tę osobistość z pyłu zapomnienia i tem samem staje się cennym przyczynkiem dla rozpoznania splotów dyplomatycznych, krzyżujących się w upadającej rzeczypospolitej polskiej.

Dr. I. K. Gorzycki.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.